

Dorian Wilczyński

Gniew Zimy

Chanat Durski, rok 1313

Skute oddechem zimy ostępy modrzewi, cisów i jodeł były ostatnimi wrotami, wiodącymi ku górskiemu podnóżu. Sięgający do kostek śnieg był tylko skąpo raczony promieniami wschodzącego słońca, gdyż poranne światło z niemałym trudem przedostawało się przez gąszcz wiecznie zielonych igieł. Kory drzew nadgryzione były przez leśną zwierzynę, chociaż jak okiem sięgnąć nie widać było żywej duszy. Toteż o obecności mieszkańców kniei świadczyły jedynie niewyraźne, płytkie ślady na śnieżnym poszyciu.

Leśną ciszę przerywało systematyczne skrzypienie śniegu pod bosymi stopami Sigwarda deUterhoor. Pomimo, że odziany był tylko w siermiężne skórzane spodnie, bodaj w ogóle nie zwracał uwagi na panujący dookoła mróz. Przy pasie przypięty miał ostry jak brzytwa miecz oraz trochę suchej wałówki, natomiast w prawej ręce mocnym chwytem trzymał trzonek topora bojowego.

Kiedy wreszcie ujrzał kraj iglastego boru, jego serce zabiło mocniej. Zaczął szybciej oddychać, a palce zacisnął na trzonku tak mocno, że aż posiniały mu knykcie. Przyśpieszył kroku, lecz po chwili nie wytrzymał napięcia i ostatnie parę sążni pokonał biegiem.

Trafił do zatopionego w bieli podnóża Gand, przywitany porywistym podmuchem lodowatego powietrza, prosto w nagą klatkę piersiową. Widok wypełniała pustka. Śnieg, sporadycznie świerki, cisy i karłowate krzewy. Dom wichrów. Przybytek potęgi natury. Mówiono, że pokory prawdziwie uczą się tylko ci, którzy doświadczyli majestatu Gand.

Sigward zadarł głowę, aby ujrzeć nikoną w gęstych, białych chmurach wstęgę szczytów i nareszcie poczuł, że zaczyna się jego podróż. Wyglądało jakby dopiero zdał sobie sprawę z tego, że chłody wicher chłosta jego pierś, śnieg parzy jego bosc stopy, a zimno z każdym oddechem wnika do jego płuc. Wypełniła go ekscytacja, która niemal od razu pchnęła go do przodu. Zatrzymał się tylko na chwilę, aby ucałować zawieszony na szyi wisior z symbolem jego pana, boga wojny Cadosa.

Jak gdyby sprowokowana tym aktem Izuna, Pani Zimy, zeszła z nieba leniwie opadające płatki śniegu, które z czasem zaczęły pokrywać jego gęste włosy. Nieustępliwe śnieżynki nie przeszkadzały mu brnąć do przodu, gdyż w sercu miał determinację, wykutą przez lata przygotowań. Było dokładnie tak jak rzekł kapłan Drejmej deTranataar, gdy Sigward po raz pierwszy przystąpił do prób: „hartując swe ciało, hartujemy swego ducha”. Tak jak śnieg, zimno i wichry zdawały mu się teraz niczym, tak też wiedział, że czekające go trudy, niebezpieczeństwa i udręki są uczciwą ceną za szansę, którą otrzymał. Niemal od razu do jego pamięci wpadł werset trzydziesty pierwszy z rozdziału czwartego Księgi Świętego Drususa:

„Mówi się, że zaszczytem jest otrzymać szansę od Pana, lecz ja wam mówię, że prawdziwym zaszczytem jest ją okupić krwią i potem!”

Sigward spojrział na przestwór górskiej potęgi, ważąc w sercu słowa z Wieloksięgu Cadosa, które wpoił mu wielbny Drejmej. Na twarzy wojownika zagościł grymas niezłomności. Dmące wichry

przynosiły nieustający świst, lecz w tym momencie nic nie było w stanie zagłuszyć głosu w sercu durczyka.

- Idę po ciebie Izuno – rzucił zajadle w stronę gór. – Sigward deUterhoor po ciebie idzie – oczy wojownika zalśniły pasją. - Jestem pielgrzymem wojny, tragarzem gniewu. Żadne wichry, ni ściana lodu nie powstrzymają mego miecza i topora – przełknął ślinę i nabrał zimnego powietrza do płuc. - Cadosie! – ryknął, wyprężając klatkę piersiową. - Twój syn przemówi dziś czynem! - Przetarł usta z drobnej, zamarzającej wilgoci, po czym przyśpieszył kroku.

Opadający śnieg przybrał na sile i z czasem każdy krok wymagał coraz więcej wysiłku. Zaspy sięgały już do kolan, a w dodatku ciało wojownika zaczęło być jakieś ociążałe, jak gdyby miał na sobie kłapy śniegu, podobnie jak te samotne iglaki, uginające się pod władzą bieli. Wtedy, w oddali, dostrzegł górską kozicę, która mknąc z niewypowiedzianą lekkością po zamrzniętych stromiznach zatrzymała się na półce skalnej i skierowała na niego wzrok. On, Sigward deUterhoor, słabł, podczas gdy marne zwierzę patrzyło na niego z góry? Ileż trudów przebył, ileż chłodu zniósł, a teraz, po tych wszystkich słowach, słabł już pierwszego dnia? Wzgardził tym myśleniem, trucizną wsączoną do jego umysłu przez Izunę. Uniósł głowę i ujrzał mknącego po niebie jastrzębia przegowatego. Jest durczykiem, ale teraz jest również dzikim zwierzęciem, częścią natury, bestią, której lękać się będą mieszkańcy Gand!

Ta determinacja całymi godzinami pchała go dalej. Była świadectwem tego jak wiele znaczyła wola. Jednakże z czasem umysł wojownika zaczął truchleć jak słońce wypędzane przez noc. Przypomniał sobie słowa kapłana: „gniew służy bitwie”. Miał rację, zaśmiał się Sigward, jak zwykle zresztą. W końcu był głosicielem słowa bożego, przewodnikiem ku Cadosowi. Nie czas teraz na potyczkę z Izuną, to zaledwie początek drogi, namiastka prawdziwej wojny. Zrozumiał co musi zrobić.

Wstuchał się w skrzypiący pod jego bosymi nogami śnieg, w regularność swojego oddechu, w wycie górskich wichrów. Zapadł w trans, półświadomie brnąc do przodu, wyzbywając się wszelkiego myślenia. Wodził pustym wzrokiem po ciągnącej się przed nim ścieżce, aż w końcu zapomniał nawet, że patrzy.

Jego ciało podążało dalej, lecz umysł pozostawał uśpiony.

Prawdziwa bitwa czekała na niego później.

* * *

Stał na brzegu skutego bezlitosną zmarzliną jeziora. Nagle topór w jego rękę opadł prosto na lśniąca opokę wód. Potem znowu, znowu i znowu, aż wreszcie wyrąbał wąski przerębel. Woda była ciemna, spokojna, ale i groźna w swej łagodności. Powietrze wychodzące z płuc Sigwarda niemal natychmiastowo zmieniało się w parę. Powoli, krok po kroku, zanurzył się w mroźnej toni. Chłód palił jak ogień, chociaż był jego zaprzeczeniem. Durczyk wszedł po pas, nie mogąc powstrzymać głębokich oddechów. Wszystkie instynkty pchały go aby zawrócić. Tylko jeden, aby szedł dalej.

- Oduść jeśli jesteś za słaby – zadrwił za jego plecami Drejmej. Wojownik odwrócił się i spojrzał na kamienne oblicze starzejącego się mężczyzny. Zmarszczki orały czoło kapłana, a jego policzki zaczęły się już z wolna zapadać. Nos miał duży, brwi gęste oraz siwiejące, podobnie zresztą jak jego czarne włosy, które opadały mu na twarz. Patrzył na niego przenikliwymi brązowymi oczyma, opatulony w grube niedźwiedzie futra. – Zawsze możesz jutro spróbować – wykrzywił usta w żartobliwym grymasie.

- Jutro nigdy nie nadejdzie – odrzekł pewnym tonem Sigward, zagłębiając się po pierś. Mięśnie w jego ciele same się spięły. – Zawsze jest tylko dziś – wydyszał, starając się uspokoić ciało. Spowolnił

oddech i zanurzył się po szyję. Nagle uczucie chłodu przestało go dręczyć, jak gdyby zapomniało, że ma kogoś w swoich siłach. Wyraz zwycięstwa zdominował jego twarz, lecz jedynie na parę sekund. Bezlitosny mróz nagle przypomniał sobie o nim, a może raczej zroszował aby uderzyć ze zdwojoną siłą. Uczucie stało się nie do wytrzymania. Parzyło i odbierało czucie. Piekło i otumaniało. Zadawało ból i wysysało życie. Instynktownie wyszedł z wody, drząc na ciele i łapczywie łapiąc chłodne powietrze.

- Chyba jednak jutro – rzucił kapłan z drwiną w głosie.

Nagły huk wyrwał wojownika ze wspomnień. Sigward przystanął, patrząc jak w oddali masyw śnieżny stacza się w dół, nabierając po drodze druzgoczącej potęgi. Żywioł zimy bezlitośnie runął na skraj kniej, którą durczyk pozostawił za sobą, kąpiąc ją w idealnej bieli.

- Nie tym razem Izuno – warknął owładnięty przez nagły wybuch gniewu. – Nie jestem już taki słaby jak kiedyś. Nie ma dla mnie jutra, jest tylko dzień dzisiejszy. Nie trwożę się na widok twych gróźb, nie struchleje moja wola – odwrócił wzrok od zdruzgotanego lawiną kraju lasu i ruszył dalej. – Pamiętam wszystkie swoje porażki... - ścisnął trzonek topora mocniej. Broń była jego towarzyszem w tej podróży. Stał trwała nieugięta pomimo kłuszącego ją mrozu. Była dla niego wzorem. Musiał być taki jak ona.

Zamachnął się toporem i wbił go w jedno z ostatnich wysokich drzew na tym szczelbu gór. Wstrząs spowodował, że puch opadł z zielonkawych igieł. Wiatr powiódł część śnieżynek prosto na jego tors, tylko po to by roztopiły się od jego ciepła. Wyciągnął miecz z pochwy i spojrzął na urokliwe, smukłe ostrze z natchnieniem. Niósł klingę aby pamiętać słowa z Księgi Świętej Rasheny, Królowej Bitew. Rozdział drugi, werset osiemnasty:

„Poprzez miecz każdy może odnaleźć swą chwałę, lecz wielcy są ci, co wielcy są duchem”.

- Nigdy bez zrozumienia, nigdy bez kontekstu, nie bez przewodnika – pomniał na słowa Drejmeja deTranataar, o tym jak rozumieć Wieloksiąg Cadosa. – Rashena rzekła tymi słowami, że historię piszą zwycięzcy. Ogłosiła jednak, że historia nie jest prawdą, a nasz pan, Cados, widzi prawdę i na nią jedynie zważa! On mierzy synów i córki miarą ducha. I jest to miara czynów, gdyż to one są prawdziwymi owocami duszy!

Kapłan uczył go tego, gdy na zmianę biegał po śniegu i grzał się gorącymi węglami. Mówił do niego raz za razem, wpał mu zrozumienie, popędzał i karcił.

- Wielkie czyny pochodzą z ducha miłego Cadosowi – powtarzał po każdym okrążeniu. – Jaki jest sens tego co robisz, wojowniku?! – ryknął pewnego razu, gdy Sigward opadł bez sił na śnieżny puch. – Wstawaj, Sigwardzie deUterhoor! Czyż krew twego rodu jest mylnie ceniona?

- Nie mogę już... - wydyszał wtedy z trudem, nie próbując nawet wstać.

- Co poprzedza w zrozumieniu werset Świętej Rasheny, który tak sobie uwielbiłeś – warknął gniewnie do niego kapłan. – Co poprzedza! – ryknął kopiąc go w bok, aż Sigward chwycił się z bólu za bok.

- Werset...

Kolejny kopniak, tym razem mocniejszy.

- Pełną nazwą! Z należną czcią! Nie wypluwaj słów świętych jakby to były karczmienne przysłowia!

- Księga Świętego Drususa rozdział drugi, werset piętnasty – wycedził przez zaciśnięte zęby. – „Trud jest dłutem rzeźbiącym naszą duszę. Dłutem, które sami trzymamy”.

- Nie bez zrozumienia, nie bez szerszego kontekstu, nie samemu – napomniał go Drejmej deTranataar. – Wstań, Sigwardzie deUterhoor, ja nie uczynię tego za ciebie. Nie wyrzeźbię twojej duszy za ciebie. Wstań.

Tamtego dnia wstałem.

Dziś idę.

Roślinność karłowacieje, góry rosną. Chyba wciąż mało im chwały. Szczyty pyszną się jako niezwykłe, tnąc chmury i zsyłając wichry. Symbolizują durskość. Skute wiecznym lodem granie z uporem trwają, nie oddając swej chwały Izunie. Dziad mawiał: „góry porządkują ludzkie sprawy”. Rodzinne niesnaski, codzienne pożądliwości, przyziemne ambicje – to wszystko blaknie w obliczu monumentalnych grzbietów Gand. Banaty ludzkich wymysłów truchleją, a w ich miejsce przychodzą przemyślenia o życiu i śmierci, wieczności i przemijalności, przyszłości i przeszłości. Miłość do rodu umacnia się, wiara umacnia się, a wątpliwości przemijają.

Dziś idę.

A jutro znowu będzie dziś.

* * *

Drobinki śniegu delikatnie połyskiwały w słabym księżycowym świetle. Ciszę wypełniały jedynie ponure wycia wichrów, przez co Gandy wydawały się być pozbawioną życia pustynią zimy. Panujący pod nieobecność słońca mrok spowijał przestwór górskich połaci. Można by rzec, że chłód i ciemność szły ze sobą w parze, dręcząc skrytego w załęgu skalnym durczyka. Sigward deUterhoor z wolna przeżuwał suszoną wieprzowinę i bez wyrazu wpatrywał się w karłowaty krzew kosodrzewiny, osłaniający go przed mroźnym wiatrem.

Dziesiątki razy odbywał nocne czuwania, trapiiony przez przenikliwe zimno, głód i zmęczenie. Co jakiś czas przychodził do niego Drejmej deTranataar, opatulony w grube, niedźwiedzie futro. Zazwyczaj przynosił ze sobą kubek gorącego naparu, z którego ulatniała się kusząca, ciepła para.

- Sigwardzie, po cóż tak stać na zimnie? – szydził wielebny, w przewie gdy jego grdyka tańcowała, wtłaczając rozgrzewający trunek. – Dziś mam świetny grzaniec, sprowadzony z Mardawii. Znają się tam na winie – zaśmiał się gardłowo Drejmej, po czym wyciągnął półpełny kubek w stronę wojownika.

- Izuna zwodzi ulgą, ale żebyś ty szedł w jej ślady... - odpyskował Sigward, łapiąc się drwiny jako ostatniej gardy.

- Wyszczekany z ciebie kundel, deUterhoor – skrzywił się Drejmej. Nagle chlusnął grzanym winem prosto w ciało wojownika. Sekunda parzącego ciepła zaburzyła jego równowagę. – Masz tu swoje wino, a ja idę po następne... - odszedł w mrok, rzucając na ziemię grube, lisie futro, które miał uwiązane u boku. Chłód zaczął być niemożliwy do zniesienia, chociaż jeszcze przed chwilą taki nie był. Wojownik walczył ze sobą i raz za razem wygrywał. Nieobecność kaptana nie pomagała, wręcz utrudniała, gdyż nie było komu odwarknąć, by pokrzepić determinację. Drejmej długo nie wracał. Sigward bezwiednie zerknął na futro. Zwyciężył jeszcze tuzin minut i... poległ. Tamtej nocy przywdział

lisi kozuch, wręcz otoczył się nim jak matka otacza dziecko, aby nie zmarzło. Zrobił to nienawidząc siebie i swojej słabości.

Drejmej przyszedł do niego następnego dnia, usiadł przy nim na sękatej ławie w pobliżu zamrzniętego jeziora i strzepał śnieg z ubrań. Z początku milczeli, obserwując piękne zimowe ptaki o błękitnym upierzeniu, które tańczyły po bezchmurnym niebie. W końcu kapłan wyciągnął spod fałd sporawy wisior z symbolem Cadosa. Naszyjnik był wykonany ze stopu srebra i żelaza, poszarpany na krańcach, prosty i skromny.

- Jest w tobie sporo gniewu, wojowniku – rzucił kapłan zimnym tonem, nawet nie spoglądając na Sigwarda.

- Gniew potrafi prowadzić czyny – przytoczył słowa, których nauczo go za młodu.

- Potrafi też zaprowadzić do nienawiści. A nienawiść nienawidzi pustki. Nienawiść musi mieć żywiciela i ofiarę. Jest jak pasożyt, który steruje sercem tak, aby ciało pożerało innych.

- To puste słowa, kapłanie – warknął Sigward.

- Puste? – prychnął Drejmej. – Pusty jest ten, co wciąż szuka wrogów.

- Mam jednego wroga.

- Rzeczywiście jednego – zgodził się kapłan. – Lecz nie jest to Izuna, bogini zimy. Niegodnyś zwać się wrogiem boga, śmiertelniku – jego głos stał się surowy i nieprzejednany. – Ty masz innego wroga. Rzeknę to tylko jeden raz. Ten kto szuka wrogów staje się wrogiem samego siebie.

Sigward wstał bez słowa i ruszył w stronę lasu.

- Kieruj się uwielbieniem – doszedł go głos zza jego pleców, po czym usłyszał parę kroków, ugniatających świeży śnieg.

- Uwielbieniem? – odwrócił się Sigward i spojrzał na kapłana z niedowierzaniem.

- Mów jak to jest, że Cados nas szanuje – rozkazał Drejmej głosem nietolerującym sprzeciwu.

- Szanuje nas, bo walczyliśmy w je...

- Jak to jest, że on MOŻE nas szanować?! – przerwał mu ostrym, zniecierpliwionym tonem. – On! Potęga! Szafarz dusz. Patron wojny?! – podszedł bliżej, spoglądając czarnymi ślepiami prosto w oczy Sigwarda. - My, cielesne istoty, starzejemy się i umieramy. Żyjemy pośród kamiennych ścian, podczas gdy jego domem jest firmament.

Sigward chciał już odpowiedzieć, lecz spostrzegł się, że nie ma żadnych słów na języku. Kapłan miał rację. Uczono go, że Cados ich szanuje, ale przecież bóg nie mógł „szanować” śmiertelnika - mógł go prowadzić, kierować, czy błogosławić, ale nie szanować.

- Wszyscy, którzy zgłębiają tę tajemnicę wiary pierwszej niedowierzają. Też tak miałem – ominął go, podkreślając wypowiedź gestem ręki. - Wydaje nam się to aż... nierealne – wstrzymał się na chwilę. - Jednakże ręczę, że nie jest to kościelna mrzonka, żaden to wymyślony przez człowieka dogmat, aby napawać się własną wspaniałością – jego głos był ciężki i niski. – To prawda – wyciągnął nóż z pochwy. Spojrzał na odbicie swoich oczu w bladym ostrzu. - Widać ją w prawach świętych.

Sigward milczał.

- Weźmy na ten przykład losy Świętego Drususa – kontynuował wielebny. - Rodzicielka powita go wśród bitewnego gwaru. Była zbyt słaba w swej brzemienności, aby ujść przed wojną, lecz Cados spojrział na nią przychylnym wzrokiem. Zdołała powić syna i przetrwać. Stała się silna, jak to rzekł święty. Drusus stracił w tej bitwie swego ojca, a że nie miał żadnego rodzeństwa, dorastał w ciężkich warunkach. Wojna wciąż tętniła żywotem, toteż gdy miał lat mniej niż ty teraz, wcielono go do królewskiej armii – podjął pełnym pasji tonem. - A on wystawił się już na pierwszej z bitew! Wróg był wtedy liczniejszy, silniejszy, a przede wszystkim niehumaniczny... W tamtych dawnych wiekach orki były plagą północy, skąd też pochodził Drusus – Drejmej schował nóż do pochwy i spojrział na milczącego Sigwarda. Wojownik czekał na kolejne słowa. - Święty podjął ów dnia pieśń zwaną do dziś Pieśnią Nieśmiertelnych. Rozpoczyna się ona od słów: „my, którzy stoimy przed twoimi wrotami, wołamy do Ciebie, Panie”. Zapamiętaj te słowa, Sigwardzie. Nie waż się ich zapomnieć – dopowiedział surowo, po czym kontynuował: - Drusus przebił się przez linię wroga, prowadząc za sobą grupę śmiałków, prosto na wrogię wodza. W krwi i pocie skąпали oni horyzont, aż wreszcie zarżeli dowodzący pomiot – zatrzymał się na chwilę w opowieści, spoglądając na lisa, który przemknął nieopodal nich. - Przechodząc do sedna... lata później Święty Drusus utrwalił na kartach swej księgi Prawo Jednej Trzeciej: jedna część należy się Cadosowi, jedna jest prawem zwycięzcy, a ostatnia z nich ma zostać pozostawiona na odrodzenie. Rzeknij mi, Sigwardzie – kapłan spojrział mu w oczy z dziwną ciekawością. – Czy taki podział podbitych ziem jest najwłaściwszy?

- Winien być. Cados to ogłosił.

- A czy my, durczycy, zawsze tak robimy?

Sigward zastanowił się nad odpowiedzią. Nie pamiętał tego prawa, nie nauczyli go tego za młodu. Może było to prawo na tamte czasy?

- W tym tkwi uwielbienie, młody deUterhoorze. To nie Cados ogłosił to prawo, lecz Drusus je ogłosił, a Cados poparł je swoim boskim autorytetem, dając wyraz tego, co dla nas niepojęte – przyzwał oblicze dumą. - Szacunku boga do śmiertelnika! – dał tym słowom rozejść się w zimowej toni wichrów. - Toteż w tamtych czasach obowiązywało Prawo Jednej Trzeciej, ale i dziś nikt nie może rzec złego słowa do kierujących się tym przykazaniem. A są tacy – dodał szybko. – I jest ich niemało – kapłan wsunął wisior z powrotem w fałdy materiału. - Dlatego, jeśli tylko przykazanie nie stoi w sprzeczności z podstawowymi dogmatami boga, Cados daje nam prawdziwą wolną wolę, gdyż wolę popartą boskim wstawiennictwem. Święci stawiają prawa, błogosławieni zasady, ale znamiona szacunku Cadosa nie trzeba szukać jedynie wśród najwybitniejszych – Drejmej minął go, lecz nim odszedł, zatrzymał się jeszcze aby dopowiedzieć: - Z czasem nauczysz się widzieć ten szacunek do samego siebie, młody deUterhoorze. I wtedy nigdy nie będziesz chciał zawieść tego szacunku.

Sigward wrócił myślami do teraźniejszości, czując w sobie żar wiary, jaki jeszcze nigdy wcześniej go nie nawiedził. W końcu zrozumiał co Drejmej miał wtedy na myśli. Szedł ku Gandom z imieniem Cadosa na ustach, wytaczając bitwę Izunie. Czuł szacunek boga wobec siebie, wobec zwykłego śmiertelnika. Uniesienie religijne pchnęło Sigwarda ku modlitwie, lecz nim wypowiedział pierwsze słowa przypomniał sobie coś jeszcze. Werset dwudziesty pierwszy z drugiego rozdziału Księgi Arcykapłańskiej, trudnej w zrozumieniu, przeznaczony głównie dla kapłaństwa, chociaż zawierającej parę podstawowych prawd, takich jak ta:

"Prawdziwa modlitwa składa się ze słów i z czynów".

Sigward deUterhoor wstał i wyszedł z załęgu skalnego. Wkroczył do domu wichrów, krainy chłodu i ciemności. Wycie gór zagłuszało jego słowa, lecz nie zdołało zagłuszyć jego ryku. Wykrzychał

modlitwę, stojąc dumnie naprzeciw potęgi Izuny. Dał świadectwo swej wiary wobec wszystkiego co go otacza oraz wobec samego siebie.

* * *

Słońce leniwie wschodziło nad skutą uściskiem zimy krainą. Poranne cienie chowały się za karłowatymi krzewami, strzelistymi formami skalnymi oraz za muskularną sylwetką Sigwarda, który parł ku górskim szczytom. Powietrze było tutaj nie tylko zimne jak lód, ale i rzadsze, przez co z każdym pokonywanym krokiem oddychało się ciężiej.

Ścieżka zaczęła wyraźnie stromieć, a zimowy puch ustąpił twardej zmarzlinie. Kroki bosych stóp durczyka stały się ostrożne, gdyż łatwo było o śmiertelny poślizg w bezdeń. Wąskie, zlodowaciałe przesmyki otoczone były niekiedy tylko górskimi klifami. Niosły ze sobą obietnicę szybkiej śmierci. Obietnicę, którą można było usłyszeć wśród wycia wichrów. Chociaż wojownik winien był przyznać, że przepaści budziły również majestat.

Sigward rozrąbywał gładki lód toporem, aby mieć oparcie pod stopami oraz po to aby podciągać się na zaklinowanym w zmarzlinie ostrzu. Mimo to nieraz ześlizgiwał się do krawędzi górskich czeluści. Z niezrozumiałych dla niego powodów potęga zimy zaczęła budzić w nim pewien podziw, chociaż było to ostatnią rzeczą, jaką chciał przed sobą przyznać.

Nagle plejady płatków śniegu zaczęły opadać z nieba. Durczyk uniósł głowę i ujrzał gęstniejące chmury, które z wolna zaczęły pokrywać górski monument. Przyspieszył, przez co niemal od razu stracił równowagę i boleśnie upadł na kolano. Zagryzł gniewnie zęby i wstał.

„Pośpiech przynosi zgubę – przypomniał sobie słowa swojego dziada. – Tak jak opieszałość”.

Ruszył ostrożnie, starając się nie baczyć na gęstniejący opad śniegu. Niebo powoli ciemniało, wichry przybierały na sile, a mróz tężniał. Sigward nagle zorientował się, że czuje w stopach jakiś inny, dziwny chłód. Wydawało się, że nie był to zwykły mróz, którego przecież doświadczał od samego początku podróży. Temu towarzyszył piekący dreszcz, jednocześnie przyprawiający o osobliwe drętwienie. W pamięci durczyka pojawiło się wspomnienie Erjana, wojownika, który wraz z nim przechodził próby. Był to syn ajnara z południa Chanatu Durskiego, lennego chyba wobec rodu deHardegaar, jeśli dobrze pamiętał. Przez dwa lata spędzał z nim zimy na ziemiach kościelnych, hartując się do wyprawy. Niestety rodzime sprawy ściągnęły Erjana z powrotem na południe i Sigward już nigdy więcej go nie ujrzał. Przed odejściem towarzysz powiedział mu te słowa:

„Najpierw odbiera władzę w stopach, potem pnie się do kolan, jak choroba trawiąca drzewo, od korzeni, aż po pień. Nie ustaje na kolanach. Potem wspina się, tak jak ty będziesz wspinać się po Gandach – w jego głosie można było wtedy wyczuć przygnębienie. Nie dziwota, w końcu Sigward zmierzał dopełnić drogi, którą Erjan też chciał podążać. – Chłód Izuny dotrze do bioder, brzucha, a gdy sięgnie serca, wtedy umrzesz.

- Jak to powstrzymać? – spytał go tamtego dnia Sigward.

Odpowiedział mu jedynie śmiech i wymowny gest ręką niosący ze sobą słowa - któż to wie? Sam musisz znaleźć odpowiedź”.

Śnieżycą przybrała na sile, sprawiając, że dzień stał się nocą. Wichry nieustannie chwiały równowagę durczyka, a osobliwy mróz nieśpiesznie wdrapywał się po jego łydkach. Mimo, że stracił czucie w stopach, to jakoś bezwiednie parł naprzód - chociaż obawiał się, że gdy porzuci narzucone

tempo, to nogi odmówią mu posłuszeństwa. Zastaniając się dłońmi przed plującym mu w twarz śniegiem spostrzegł, że jego dłonie posiniały. Naszły go myśli o odwrocie, rezygnacji, poddaniu się. Inne mówiły o śmierci. Serce durczyka zaczęło bić mocniej, rozprawdzając po ciele palący stres. Nie pomógł on jednak za bardzo. Chłód wciąż zwyciężał.

„Ile jest warte słowo dane drugiemu człowiekowi? – odbijał się echem głos kapłana w jego głowie. – A ile jest warte słowo dane bogu?”

Wrócił myślami do przypowieści, którą wtłoczył mu do głowy Drejmej - do losów Świętego Drususa, świętego którego Sigward obrał za swego patrona.

- I stało się, że Świętego Drususa mianowano hetmanem królestwa Armis – wygłosił kapłan deTranataar zza ołtarza, na którym spoczywał Wieloksiąg Cadosa. Był to ich prywatny czas, indywidualne nauczanie. - Tedy w sąsiednim Bilmentarze królowała Izuna, a w jej imieniu władzę pełniła Święta Marlena Madis, Lodowa Rycerka. Zaprawdę były to czasy niezwykłe, czasy dwojga świętych – wszystko mówił z głowy, czasami zerkając na wersety, ale tylko po to by się upewnić, że nic nie przeoczy. - Wojna była nieunikniona, jak nieunikniony jest wschód słońca – mówił podniośle, odziany w dostojne, kapłańskie szaty. - Czas oręża, krwi i chwaty zapanował na północy, lecz kapryśny los nie doprowadził do konfrontacji świętych. Wojna wiodła jak odcięte pędy, nierozstrzygnięta, plująca w twarz przeznaczeniu – uniósł żywo dłoń, podkreślając słowa mową ciała. – Choroby, ogień i bieda poczęły trawić oba narody, a końca nie było widać. Zląkł się więc władca Armis – rzekł pogardliwym tonem Drejmej. - Zarządził pokój za plecami Świętego Drususa. Poczynił pakt z kościołem Izuny. A nadto! – uniósł głos. – Swym królewskim majestatem nakazał Drususowi odstąpić od wojny! Lecz jakże święty miałby słuchać zwykłego człowieka, kiedy trwają igrzyska bogów? Jednakże... - zawiesił na chwilę głos. - Słowo wierności hetmańskiej zostało uprzednio wypowiedziane językiem świętego – rzekł dobitnie. – Ale czy święty Drusus miał w sobie wątpliwości, czy miał w sobie słabość? – zapytał retorycznie. - Był tym kto ustanawia prawo za wstawiennictwem samego Cadosa. Tak więc ogłosił on, że pokona i posiadzie Świętą Marlenę Madis! – spojrzał na Wieloksiąg. - W krwi skąpan, urznął swój język. Język, który wypowiedział słowa przysięgi hetmańskiej. Niniejszym stał się wolny od przyrzeczeń danych śmiertelnikom. Obowiązany był jedynie do wypełniania woli bożej! – Drejmej zaczął oddychać głębiej, aby uspokoić emocje, które zawitały na jego twarz. – Drusus posłał swój język monarsze Armis, a do wiernych Cadosowi rozesłał wici o nadchodzącej chwale! Słowo boga stało za jego wybrańcem, tak więc z całego kraju przybyli wojownicy aby służyć pod chorągwią świętego. Wielka radość nastąpiła na wieść o ostatecznej bitwie! Tedy też Święta Marlena Madis, chcąc pokrzyżować plany Świętego Drususa, postanowiła opuścić Bilmentar – obniżył ton i oparł się rękoma o kamienny ołtarz. - Wraz ze swymi Lodowymi Rycerkami udała się na najdalszą północ, do krainy wiecznych wichrów i złodowaciałych pustyń. Do tundry Izuny. Chciała plunąć Cadosowi w twarz, sprawiając, że jego święty wyjdzie na głupca – pokręcił kpiąco głową. - To ona była głupcem. Święty Drusus bez zwłoki zebrał swych najwierniejszych wojowników, po czym udał się w pogoń za wybranką zimy – ponownie zrobił chwilę przerwy i pocałował symbol Cadosa na swoim wisiorze. - Dopadł ją w przesmyku, do dziś zwanym Przesmykiem Drususa. Tam też rozgorzała ostateczna bitwa, pojedynek świętych... wszakże... przebiegła Izuna nie bez powodu obrała to miejsce na konfrontację. Była to skrzętnie zaplanowana pułapka. Olbrzymia lawina miała żywcem pochować sługi Cadosa – Drejmej zaśmiał się cicho. - Święty Drusus wiedział o wszystkim. On miałby złąknąć się lawiny?! On?! Przybył aby w obliczu śmierci odbyć swą najwspanialszą bitwę! Zwyciężył nad wybranką Izuny i nim pochował go śnieg, zgodnie z obietnicą posiadał Marlenę Madis. Potem zaśmiał się głośno i wykrzytał historyczne słowa: Cados mym ojcem, a śmierć matką! Rzekł to pomimo, że nie miał języka. To bóg pobłogostawił go głosem! Za dopełnienie przysięgi i za wiekopomne zwycięstwo nad Izuną! – kapłan uśmiechnął się dumnie, przez co jego twarz wydała się młodsza. - Pozostali przy życiu wojownicy Cadosa wiedzieli co robić. Lodowe Rycerki

umknęły do najmroźniejszej z krain aby dowieść, że zima może powstrzymać wojnę. Toteż sługi naszego pana osiadły na tych nieprzyjaznych terenach, wypowiadając wieczną wojnę Izunie i to w jej własnym sanktuarium! Dziś zwani są oni barbarzyńcami, czyli niosącymi wojnę. Wojnę nawet w obliczu zimy, którą zwą Panią Pokoju!

Izuna zesała na Gandy burzę śnieżną, tak jak zesała lawinę na Świętego Drususa, lecz czy święty wycofał się ze strachu przed śmiercią? Sigward chwycił wisior z symbolem Cadosa, dowód słowa danego bogu. Ryknął wściekle i przyśpieszył, rozpalany od serca ogniem wiary, a mrożony od stóp chłodem Izuny. Szedł instynktownie, wiedziony pamięcią o planach gór i opowieściach wędrowców. Jego kolana zamarzyły, ale wciąż jakoś zginały się przy każdym kroku.

Nagle wiatr strącił w przepaść wielki głaz. Huk rozbicia skały przeminął wśród wichrów. Sigward dotarł wreszcie do wysokiej ściany górskiej, przypiął do pasa topór i zaczął się wspinać. Szczęśliwie było wiele półek skalnych i wnęk. Mięśnie stęknęły z wysiłku, kiedy podciągnął się jedną ręką, gdyż druga nagle straciła oparcie. Wdrapał się na pokrytą chropowatą zmarzliną górską ścieżkę i dysząc ciężko uniósł z nadzieją wzrok. Była tam jaskinia. Ta, którą pamiętał z map.

Panujący w grotcie półmrok przyniósł mu natychmiastową ulgę. Jednakże po paru krokach, z wnętrza jamy, doszło go ciche warknięcie. Nie był tu sam. Jakże mogło być inaczej? Izuna musiała skonfrontować go ze swoim sługą. Sigward bez wahania obnażył ostrze i chwycił topór. Cekał aż niedźwiedź wkroczy w zasięg jego wzroku. Nim jednak to się stało, rozległ się głośny, zwierzęcy ryk, mający odstraszyć intruza. Na próżno.

Sierść miał czarną jak noc, zlewającą się z mrokiem jaskini. Oczy czerwonawe, pazury długie, a cielsko spasione. Zwierz stanął na tylnych nogach, machając potężną łapą, po raz ostatni ostrzegając intruza. Sigward nie czekał aż niedźwiedź przejdzie do ataku. Sam ryknął i dwoma susami doskoczył do bestii, rąbiąc toporem i siekąc mieczem. Grube futro w moment nasiąknęło krwią. Jednak w tej samej chwili, oszalały z bólu górski potwór smagnął łapskiem prosto w klatkę piersiową Sigwarda. Durczyk błyskawicznie odskoczył, jednak pazury i tak boleśnie wyłobowały szramy na jego ciele. Kolejny atak wycelował w drugą łapę stwora. Pęd obu przeciwstawianych „oreży” sprawił, że topór wbił się w dłoń niedźwiedzia. Opętany bólem zwierz rzucił się do przodu, prosto na czekającą klingę Sigwarda. Nabił się aż po gardę, lecz jednocześnie boleśnie przygwoździł durczyka do skalnego podłoża. Potwór zaczął miotać się i wić, niemal gniotąc kości wojownika. Sigward z całych sił przepchnął cielsko na prawo i odpełzł. Niefortunnie jedna z łap zdołała go drasnąć. Poczuł ciepłą krew na swoich plecach. Zacisnął zęby i odszedł poza zasięg szamoczącego się w agonicznych konwulsjach zwierzęcia. Durczyk zaczął głęboko oddychać, nie mogąc powstrzymać się od szerokiego uśmiechu. Patrzył jak niedźwiedź umiera, niemal śmiejąc się z radości. Dokonał tego, nie uległ Izunie, nie pozwolił sobie upaść, zwyciężył bitwę na śmierć i życie. Zimno ustąpiło z jego kolan i stóp.

Kiedy zwierz wreszcie umarł, Sigward podszedł i położył się na jego martwym, ciepłym cielsku.

Zasnął nim zdążył się spostrzec.

* * *

Poranek otulał blaskiem ogołoczonego z listowia las. Ospale promienie słoneczne niemrawo tańczyły na wiszącym na gałęzi medalionie. Sigward deUterhoor stał na zimnie, odziany jedynie w skórzane spodnie, podobnie zresztą jak Drejmej deTranataar, który od tej zimy ćwiczył z nim jak równy z równym. Nagi tors kapłana poznaczony był dawnymi bliznami, a jego smukłe mięśnie wyglądały jak zahartowana stal. Na swej piersi dumnie nosił wisior, o który tak bardzo zabiegał Sigward.

- To ostatni test, ostatnia próba. Dzień, w którym rozstrzygnie się los – rzekł uroczyście kapłan. – Mawiają, że przeznaczenie to wola bogów. Jeżeli rzeczywiście tak jest, to twoje przeznaczenie leży tylko w twoich rękach, gdyż nasz Pan, Cados, szanuje wolę godnych sług! Sigwardzie deUterhoor, czy pragniesz przywdziać symbol ze srebra i z żelaza?

- Tak.

Kapłan podniósł drewniane wiadro, pełne pokruszonego lodu i wrzucił do beczki, do której wszedł wojownik. Zimno zaatakowało natychmiast. Potem kolejna partia kryształów chłodu i kolejna i tak aż lód sięgnął pod szyję Sigwarda.

- Jeśli przeżyjesz, wisior jest twój – stwierdził kapłan. – Nie potrzeba więcej słów.

* * *

Sigward uchylił powieki, czując smród zwierzęcego truchła. Ogrzany ciepłem swego wroga poczuł się niezwykły, nawet pomimo ran, które odzywały się przy gwałtowniejszych ruchach. Wstał i spojrzał na rozdziawioną z bólu paszczę niedźwiedzia. Na pamiątkę stoczonej walki wyrwał największy z jego kłów.

Miecz i topór wciąż tkwiły w cielsku bestii. Wojownik jednym ruchem wyszarpnął pokryte zaschłą posoką ostrze i uśmiechnął się mimowolnie. Schował klingę do pochwy, a następnie oswobodził topór. Nie było czasu na zwłokę. Jeszcze dziś miał dotrzeć do celu podróży.

Wyjście z jaskini grodził ledwie przepuszczający światło, puszysty śnieg. Durczyk zaczął wyrąbywać ścieżkę, mrużąc oczy przed wpadającym do wnętrza intensywnym blaskiem. Kiedy wyszedł na zewnątrz ujrzał, że cały widnokrąg pokrył piękny, biały puch. Z grymasem na twarzy ruszył ścieżką ku górze. Każdy krok był istną mordęgą. Niekiedy zapadał się aż po udo. Ponadto śnieg, z pozoru łagodny i spokojny, parzył zaskakującym zimnem - zwłaszcza uzyskane we wczorajszej walce blizny. Mimo to brnął dalej, krętą lecz szeroką ścieżką, tuż przy kamiennej grani.

Wyszedł na niewielki płaskowyż, gdzie nie było niczego poza białą pustką. Oczyma wyobraźni widział swoją chwałę. Nie mógł odpuścić. Torując ścieżkę w niekończącym się, zdradzieckim śniegu, zazdrościł górskim ptakom swobody z jaką podróżują. Przystanął na chwilę, aby głębiej odetchnąć i zebrać siły, które zostały nadwątlone przez wczorajszą bitwę. Nagle poczuł się zmotywowany. Wspominał te wszystkie walki w mroźnych kręgach, nocne czuwania i kąpiele w zamrzniętym jeziorze. To co go zbudowało, popchnęło go naprzód.

Nawet się nie zorientował kiedy dotarł do olbrzymiej ściany skalnej, ostatniej bariery na jego drodze. Była straszliwie stroma, a wnęk miała niewiele, zupełnie jak gdyby bogini osobiście zabiegała o to aby zrezygnował. Sigward zaczął chodzić wzdłuż skał w poszukiwaniu najlepszego miejsca do wspinaczki. Namyślał się długo. Upadek mógł być jego końcem.

Za młodu, na ziemiach ajnaratu jego rodu, wielokrotnie uprawiał wspinaczkę, w końcu deUterhoorzy też graniczyli z Gandami. Miał to we krwi.

Znalazł swoją ścieżkę. Chwytał się pierwszej wnęki i podciągnął. Umocował stopę i wspiął się wyżej. Zimne wichry zmierziły jego włosy. Przebył jeszcze parę sążni, gdy nagle kamień pod jego stopą skruszał. Instynktownie przyparł do ściany i ustabilizował równowagę. Spojrzał na pobliską podporę i zaryzykował. Skoczył w bok i... zawiódł. Runął w dół, patrząc na bezchmurne niebo i osadzone na nim słońce. Spadł na gęsty śnieg i zaśmiał się głośno. Po raz pierwszy puch Izuny na coś się przydał!

Kolejna próba skończyła się upadkiem z jeszcze wyższego pułapu. Mimo to Sigward żył i uczył się z każdą porażką, wiedząc co musi zrobić dalej. Poczłł euforię. Jego ciało wiedziało, że podoła, że spróbuje jeszcze raz i wejdzie wyżej. Był durczykiem i płynęła w nim durska krew. Był deUterhoorem i płynęła w nim krew deUterhoorów. Był sługą Cadosa. Przyniesie bogu zwycięstwo.

W ostatniej próbie błyskawicznie pokonał skalną barierę. Podciągnął się z całych sił i trafił na szczyt urwiska. Górski monument wciąż królował nad sylwetką wojownika, jednak nie miało to żadnego znaczenia. W zasięgu wzroku widniały ośnieżone mury starej świątyni Izuny. Ściany przybytku zamieszkiwał jedynie świszczący wiatr. Niegdyś dumne wieżyczki, były teraz stertą gruzów i wspomnień. Przyśpieszył, przechodząc pod dość długim, wysokim, skalnym załęgiem, chroniącym podróżników od mrozu i głębokiego puchu. Wyszedł na ścieżkę świątynną i wtedy przestał się śpieszyć. Wysunął z pochwy pokryte zaschniętą posoką ostrze i ujął trzon topora bojowego. Kamienne mury urosły w oczach, nic już nie mogło go powstrzymać. W końcu dotarł do budzącego podziw portalu, bram do przybytku bogini. Przekroczył je jako zwycięzca.

Zaczął się śmiać. Wkraczając do zrujnowanej świątyni, nie mógł powstrzymać śmiechu. Otoczony symbolami Izuny dumnie wznioł oręża wojny i ryknął na całe płuca. Stał przy skruszonych, kamiennych kolumnach na nierównej, wybrakowanej posadce. Dopiero po paru minutach zdołał opanować euforię. Skarcił się lekko, że jeszcze nie czas na celebrowanie zwycięstwa. Musiał zrobić coś więcej.

Pobłądził po zrujnowanych korytarzach i odnalazł drugie wyjście. Trafił do osłoniętego od chłodu antycznego ogrodu, gdzie zgodnie ze słowami kapłana, rosły piękne, błękitne aurisy, jedyne krzewy jakie uświadczą się na tej wysokości. Emocje aż chwyciły go za serce. Dokona tego, co zaprzysiął poprzez przywdzianie wisiora ze srebra i z żelaza. Zaczął rąbać drwa i znosić do centrum świątyni, tam gdzie niegdyś stał ołtarz Bogini Zimy. Zajęło mu to aż dwie godziny, lecz nie myślał o niczym innym niż o pracy. Pot piekł niemiłosiernie niezasklepione do końca blizny. Jednak nie przejmował się tym, był jak w transie, nastawiony tylko na ostateczne zwycięstwo.

Stosik narąbanego drewna urósł na tyle, że Sigward postanowił odprawić rytuał. Wyciągnął z kieszeni spodni hubkę i krzesiwo, po czym zaczął rozpalać ogień. Niemał z czułością osłaniał od zimnego przeciągu tłące się płomyczki. Wyglądało na to, że dzisiejszego dnia ogień zatańczy w świątyni Izuny, w domu zimy.

Płomienie rozpetły się po drwie, racząc Sigwarda niemał boską przyjemnością. Ogień zdał mu się ustami, przez które przemawiał do niego Cados. Bóg najpierw szeptał. Potem śpiewał wśród trzasków płonących drzew. Wojownik odpowiedział, zanosząc ku niebu modlitwy. Tu, w centrum świątyni Izuny. Serce biło mu jak młot, mięśnie aż drżały, lecz usta nieomylnie słały w eter pochwalne psalmy.

Przysunął ostrze topora do niebiańskiego ognia, po to aby przybrał on barwę krwi. Pocałował symbol na swoim wisiorze i wstał od ogniska. Podeszedł do największej ze ścian, tej na której znajdowało się wiele szram i wyżłobionych słów.

Tuż pod „Drejmej deTranataar” zaczął ryć własne miano.

Oczy niemał wychodziły mu z orbit, oddychał napastliwie, a całe ciało ogarniało euforyczne drzenie.

Gdy skończył swe dzieło, wszedł na szczyt zrujnowanej świątyni i spojrzął na przestwór ziem durskich. Ogień za jego plecami wył z radości, oręż w jego dłoniach tańczył, ale...

Śnieg począł umykać jak spłoszony lis, a jego miejsce zajęły rodzące się do życia drzewa, trawy i kwiaty. Zwierzęta zasiedliły leśne potacie, ptaki podbiły rozświetlone niebo...

...wszędzie chłód, zima i wyjące wichry.

...durscy starcy zbierali leśne jagody, dzieciaki hasały po polach, a wojownicy i wojowniczkiszukowali się do wyprawy. Nie było już zimy, nie było pokoju wymuszonego przez zawistny żywioł. Ależ wszędzie jest gorąco... i cóż za przyjemny zefir...

Drobne chmury pokryły skrawki błękitnego nieba i zesłały tysiące śnieżynek na zamarznięte ziemie Chanatu Durskiego.

Sigward nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Jakże wiosna jest piękna, Cadosie.

* * *